

Stanisław Piętaś nie żyje

„Powracałem z rodzinnych stron, jak zwykle, trochę rozprężony duchowo i wzruszony. Przeświadczenie towarzyszyło mi jednak, że swymi występami wcale dzielnie sprostałem zadaniom propagandy nie tylko swojej, lecz w ogóle oczyszczonej literatury i uczucie to było kojące, może nawet „młodzieńczo” chępliwe. Cóż robić, widać moje serce jeszcze nie porosło mchem, jeszcze się nie zestarzało”...

Tak pisał, bo tak czuł Stanisław Piętaś w r. 1956, gdy wrócił z wieczorów autorskich w Stalowej Woli i Tarnobrzegu.

Wydać mi się, że w tych paru zdaniach jest i sens jego pisarstwa, i charakter człowieka. Delikatny, wrażliwy, bardzo silnie związany z rodzinnymi stronami, które tylekroć w swej twórczości opiewał, uczuciowo reagujący na kontakty z krajem lat dziecińczych.

Prawdziwy poeta...

A do tego — młodzieńcza ambicja i zapał — pomimo pewnej nieśmiałości, która wyrażała się w występach na zewnątrz — cichym, jakby trochę przygaszonym głosem, nie wpadającym ani na chwilę w ton fortissimo...

I jeszcze odpowiedzialność za słowo poetyckie, za swoją twórczość wobec społeczeństwa, za literaturę oczyszczoną, której był przecież częścią.

Miał ambicje, by jego książki były powszechnie czytane, by „zblądziły pod strzechy”. W maju 1956 r. pisał mi o swoim świeżo nagrodzonym tomiku wierszy „Przymierze z nowymi laty”: Są bowiem w książeczce strony, które mogą wzruszyć i proste, wrażliwego czytelnika i dać mu wiele do myślenia”.

Sam cenił wyżej swój dorobek poetycki niż prozę, chociaż nagrodę „Młodych” otrzymał w r. 1938 za powieść „Młodość Jasia Kunefala”. Pragnął jednak i w prozie zostawić po sobie „rzeczy cenne, wyróżniające się”. Jedną z jego ostatnich książek nagrodzona „Plama” jest chyba realizacją tych marzeń.

Piętaśa poznałem osobiście stosunkowo późno, bo w grudniu 1953 r., w czasie jubileuszu 40-lecia pracy pisarskiej Jana Wiktora w Krakowie. Od razu przypadł mi do serca swoją bezpośredniością, skromnością i zainteresowaniem dla spraw kulturalnych Rzeszowszczyzny. Reprezentował wtedy formalnie Zarząd Główny Związku Literatów Polskich, gdzie był wybierany stale od 1945 r., bu-



STANISŁAW PIĘTAŚ
(Zdjęcie wykonane na sali obrad Zjazdu Pisarzy Ziemi Rzeszowskiej w 1961 r.)

Fot. Kopeć

dząc powszechny szacunek i zaufanie. Ale przede wszystkim brał całym sercem udział w świecie osobistym starszego kolegi, krajana z powiatu tarnobrzkiego. Zdziwiał się było i mocne to przywiązanie do bliższej ojczyzny w widłach Wisły i Sanu. Wielowieś koło Sandomierza, skąd pochodził, była mu szczególnie droga. Tam się wychował, tam miał rodzinę, tam w latach 1944/45 przeprowadził reformę rolną, tam przejeżdżał z rodziną na wakacje. Inne strony województwa rzeszowskiego poznawał stopniowo, już jako znany pisarz. Pamiętam jak mu się podobał Sanok i jego okolice, gdyśmy w czasie „Dni Oświaty, Książki i Pra-

sy” w 1958 r. zawędrowali w tamte strony, jak zachwycił się innymi zakątkami naszego województwa. Cenił sobie rzeszowską nagrodę wojewódzką, którą otrzymał jeden z pierwszych i był oczywiście jednym z czołowych uczestników zjazdu pisarzy Rzeszowszczyzny, zorganizowanego przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę w Rzeszowie przed paru laty.

Bywałem dość częstym gościem w jego mieszkaniu przy ul. Świerczewskiego w Warszawie, dokąd przeniósł się z Łodzi w r. 1956. Zawsze serdecznie zapraszał; z góry cieszyłem się na te szczere i interesujące godziny pogawędki wieczornej, przerwanej koniecznością odjazdu nocnym pociągiem do Rzeszowa.

W zimie niezbyt lubił wyjeżdżać w „teren”, natomiast wyjazdy na wiosnę bardzo mu odpowiadały, a Dni Oświaty dawały ku temu znakomitą okazję. Wiosna budziła nową nadzieję i olśnienia, wracał młodzieńczy zapał, sił jakby przybywało. Pisarz, który wyszedł z ludu, czuł znowu, jak mityczni tytani, swój związek z Matką — Ziemią, która go wydała, chłopski syn widział znowu — po wielkomięjskim zgielku — małe miasteczko i wieś, a więc środowisko, w którym się wychował, stąd nowe bodźce dla wzlotów poetyckich.

„Czyby nie odłożyć moich wieczorów do wiosny?”

Wtedy pojechałbym z prawdziwą radością, odświeżył się — przywiózł jakieś trwalsze tematy z podróży... pisał mi w styczniu 1957 r.

Nie pojedziesz już Stachu, tej wiosny do Tarnobrzega czy Sanoka. Ale będą o Tobie pamiętać i przyjaciele, i ci czytelnicy, którym dawałeś wzruszenie. Ci, którzy Cię już poznali i ci, którzy Cię poznają.

TADEUSZ STANISZ



Dunikowski: „Górniki” — fragment z pomnika Czynu Powstańczego na Górze św. Anny.

Xawery Dunikowski

Największy polski rzeźbiarz, któremu równych nie było w naszej sztuce od czasów Wita Stwosza — Xawery Dunikowski zmarł w wieku lat osiemdziesięciu dziewięciu. Odszedł artysta, który nam, patrzącym na wielkie dzieło Jego życia, wydaje się ogniwem, wspaniałym mostem łączącym przeszłość naszej kultury artystycznej ze współczesnością. Dunikowski to była epoka. To co pozostawił po sobie, stało się własnością całego narodu.

Xawery Dunikowski przeżył wspaniałe życie. Nieomal każdy rok tego zadziwiająco pracowitego żywota przynosił dzieła nowe, zawsze tchnące prawdą, świadczące o autentycznej wielkości talentu.

Urodzony w Krakowie w 1875 roku, studiował w tamtejszej Akademii Sztuk Pięknych. Mając zaledwie dwadzieścia siedem lat, zostaje profesorem tej najstarszej polskiej uczelni artystycznej. Dzieła, które wówczas tworzył, zrodzone były z aury intelektualnej „Młodej Polski”, ekspresyjne i uduchowione, filozoficzne i głęboko ludzkie. Był On — gdy patrzymy na rzeczy i sprawy sponad sześćdziesięciolecia — już perspektywą — o bok Stanisława Wyspiańskiego, najbardziej reprezentatywnym i najbardziej zapadającym wyobraźnię artystą tego czasu. Jego portrety i kompozycje — takie jak „Kobiety przemienne”, jak rzeźby



XAWERY DUNIKOWSKI

i zmęczony, stary już człowiek, nie tracił nic ze swej imponującej, twórczej pasji. Już w szpitalu, leżąc się po obozowych prześiach, pracuje, wykonując m. in. projekt na konkurs „Pomnika Powstańców Śląskich” na Górze św. Anny i za projekt ten otrzymuje I nagrodę. Obozowe przeżycia utrwala w serii wstrząsających obrazów, które stają się w rezultacie jednym z najbardziej oskarżających faszyzm dokumentów artystycznych. W roku 1946 podejmuje pracę pedagogiczną. Tworzy wiele pomników, kontynuuje rozpoczęty po pierwszej wojnie światowej cykl „Głów wawelskich”, tworzy nowe cykle rzeźb i nowe serie obrazów. W roku 1955 przenosi się do Warszawy.

W ostatnim dziesięcioleciu miał Xawery Dunikowski wiele indywidualnych wystaw, brał udział w wielu ogólnopolskich pokazach oraz wystawach za granicą. Za swoje dzieło, za całokształt działalności otrzymał kilkakrotnie Nagrodę Państwową, a także szereg innych nagród. Został odznaczony najwyższym orderem „Budowniczego Polskiego Ludu” oraz orderem „Sztandaru Pracy”.

Nie ma już wśród nas Xawerego Dunikowskiego. Śmierć zabrała twórcę posiadającego talent i wiarę, świadczące o wielkości. Czas ją zachowa i mocniej jeszcze podkreśli. Jego dzieła stanowią i będą stanowić jeden z najprzedniejszych skarbów kultury.

IGNACY WITZ



Dunikowski: Głowy Wawelskie — Maria Skłodowska-Curie.

Stanisław Piętaś

LOT

A więc wypadło otwierać przeszłość jak kartkę zapomnianej książki — i żegnać ziemię — małą zieloną wyspę na wzburzonym oceanie. Nie nasłuchiwałem już serca, anim dotykał trwonię rozdartego wspomnienia, przepadły lasy i pola i znalazłem się sam na sam z barwami, z nłknącymi obłokami.

Powietrze miało odcień biały, lecz bielsze były miasta pojawiające się na wszystkich krańcach horyzontu. Smukliły się domy ze szkła i marmuru, ładowały się w słońcu podniebne terasy i ogródki kwiatów. „Ludzi jeszcze zobaczyć tam? Czy szczęśliwi? — myślałem. Leczą ludzi nie było. I tylko niewidzialny, a istniejący za dziesięćmi jeziorami powietrza stał mój los w dzieciennym znośnym ubraniu i odłot mój w nieskończoność barwy błękitnej w samo wnętrze słowa — błogosławili.



Narciarze

Fot. Z. POSTĘPSKI

Zależność człowieka pierwotnego od natury, jego bezsilność wobec żywiołowych i wrogich sił przyrody, uwarunkowana niskim poziomem rozwoju produkcji i nauki powodowała, że dążenie do opanowania przyrody przybierało często formę wierzeń i praktyk magicznych. Magia to system wierzeń w przyrodzie zwłazków i prawidłowości nadprzyrodzonych. Wynikające z tej wiary praktyki magiczne — czynności i zaklęcia — wykonywane w ściśle określony sposób zapewnić miały człowiekowi panowanie nad zjawiskami otaczającego świata.

Magia jest niczym innym jak bezskuteczną próbą oddziaływania człowieka na zjawiska otaczającej go przyrody, na ich siłę nazywaną „mana”.

Dziś jeszcze u ludzi bardzo zacyfrowanych spotykamy się z takim bezskutecznym działaniem. U nas nosi ono nazwę zabobonu. Zrozumiałe jest dla każdego, że pukanie w niemożliwie drzewo nie może mieć żadnego wpływu na los ludzi, ale są ludzie, którzy pukają. Łatwiej bowiem w ten sposób „zabezpieczyć” sobie los niż zrobić to za pomocą pracy, rozumu, woli.

W gromadzie ludzkiej zdarzają się od czasu do czasu również „dziwne” rzeczy. Inni niż wszyscy członkowie grupy, rodu, klanu. Wśród wielu chorób, które gnębią pierwotnych ludzi, nie brak i znanej nam na przykład padaczki. Dziś wiemy, że padaczka, epilepsja jest chorobą nerwową, bardzo trudną do leczenia. Ale pierwotni ludzie nie rozumieli tego i uważali, że taki człowiek jest opętany przez jakąś dziwną, tajemniczą, potężną siłę. Uważano więc, że człowiek taki może oddziaływać na otaczający świat, na innych ludzi za pomocą tej rzekomo tajemniczej siły.

Człowiekowi takiemu powierzała więc grupa świecące kamyczki, dziwne, niezrozumiałe przedmioty „czurina”. I człowiek taki zostawał czarownikiem.

Najbardziej jednak „dziwnymi” ludźmi plemienia pierwotnego byli starcy. Umieeli wyrabiać broń, znali zwyczaje zwierzęcy, łowny, w czasie suszy wykrywali wodę i znali wiele innych rzeczy i spraw, które młodym, niedoświadczonym wydawały się tajemnicze.

Te „tajemnice” były niczym innym jak doświadczeniem zdobytym w produkcyjnej pracy społecznej przez jej starszych wiekiem członków. Oni wtajemniczali w nie młodzież, byli więc czarownikami i kami związanymi z „tajemniczymi siłami”.

Zaznajamianie z metodami i sposobami produkcyjnymi myślistwa czy zbieractwa łączono z różnymi czarodziejskimi praktykami.

To wszystko utrzymywało poczucie zależności od jakichś sił istniejących poza człowiekiem. Utrzymywało poczucie wyobrażeń religijnych.

Praktyki magiczne składają się z trzech podstawowych elementów: przedmiotów, za pomocą których spełnia się zabieg magiczny, określonych sposobów wykonania czynności magicznej oraz towarzyszących tym czynnościom formuł słownych, czyli zaklęć magicznych.

Magia naśladowcza polegała na wierze, że przedmioty podobne do siebie są tożsame. Tak na przykład wiele ludów pierwotnych wierzyło, że uszkodzenie podobizny człowieka może spowodować wyrządzenie krzywdy samemu człowiekowi, którego podobiznę uszkodzono. Aby więc zabić wroga lub wyrządzić mu krzywdę, rysowano na piasku, wycinano z kory lub lepieno z gliny jego figurkę i np. przebijało ją strzałą czy nożem lub odrywano figurce rękę czy nogę — wiercono, że po tym zabiegu człowiek, nad którego

ścielęli. Rozpowszechnione jest również wyobrażenie, że między śladem stopy a nogą zachodzi taki związek, że jeżeli się przebieje poznaczony na ziemi ślad, to człowiek, który ten ślad zostawił, zostanie zraniony.

Przytoczone przykłady zalicza się do tzw. magii pozytywnej, czyli zalecającej wykonanie pewnej czynności, aby osiągnąć upragniony skutek. Istnieje także magia negatywna, zakazująca spełniania pewnych czynów — aby uniknąć nieprzyjemnych skutków. Magia negatywna

itp. Magia produkcyjna koncentruje się głównie na takich sprawach, jak spowodowanie deszczu (najczęściej spotykaną praktyką magiczną mającą spowodować deszcz, jest polewanie ziemi wodą lub uderzanie ręką o wodę), spowodowanie pogody, zabezpieczenie obfitości zwierzęcy i dobrych urodzajów. W związku z tym warto zwrócić uwagę na dwa typy magii: magię prywatną, czyli praktyki spełniane przez poszczególne jednostki w imię własnych celów oraz magię społeczną, czyli spełnianą w interesie całego kolektywu. Praktyki magiczne spełniane w interesie grupy związane są z rozwojem instytucji zawodowych specjalistów, którzy są podstawą przyszłego rozwoju warstwy kapłańskiej.

Istotą wszystkich typów i rodzajów magii jest wiara w istnienie sił nadprzyrodzonych. Jedną z form wierzeń związanych z praktykami magicznymi jest wiara w „mana”. Słowo „mana” pochodzi z języka Melanezyjczyków, u których oznacza ono siłę nadprzyrodzoną, mistyczną, nieosobową. W „mana” wyposażone mogą być różne przedmioty, zwłaszcza te, które spełniają ważną rolę w życiu ludzi pierwotnych — zwierzęta, rośliny, ludzie (np. szamani), a także istoty nadprzyrodzone. W miarę rozwoju wyobrażeń religijnych „mana” może nabierać charakteru indywidualnego, a nawet stanowić podstawę pojęcia boga.

Człowiek pierwotny nie wyodrębnił siebie z otaczającego środowiska przyrodniczego. Rozwój religii pierwotnych u wielu ludów związany jest z przekonaniem o tożsamości człowieka z przyrodą. Przekonanie to stanowi podstawę animizmu.

ST. RYBARSKI



Trawy na śniegu

Fot. J. OLMA

Rok Michała Anioła

Rok 1964 obchodzony będzie na całym świecie, jako rok poświęcony pamięci Michała Anioła. Przed czterystu równo laty — w roku 1564 zmarł w Rzymie, w mieście, w którym stworzył swe najwspanialsze dzieła: freski w Kaplicy Sykstyńskiej, kopię Katedry św. Piotra. Artysta, który określił najwyższe ludzkie i artystyczne wartości epoki Odrodzenia; twórca będący synonimem „uniwersalnego człowieka Renesansu”, tragiczny tytan nowożytnej kultury europejskiej. Michał Anioł Buonarroti, swą nieposkromioną pasją, wyobraźnią, jedyną świadomością artystyczną, dominował — obok drugiego geniusza owego czasu — Leonarda da Vinci — nad całą wielką epoką. Kształtował ją też poprzez liczne dzieła, które w ciągu dramatycznego życia stworzył. Wpływ Michała Anioła nie ograniczył się jednak tylko do czasu, w którym żył. Jego sztuka i jego myśl promieniowały w sposób niezwykły na wszystkie wieki następne.

I dziś, my — tak na pozór odlegli od czasów jego działalności — poddajemy się dziedzictwu, które pozostało. Jesteśmy uziarnieni i zachwyceni potęgą wizji, związkami z ży-

ciem i równocześnie posłuszeństwem tworzywa ręce umiejacej powściągać żywioły.

Uroczystości związane z uczczeniem pamięci Michała Anioła rozpoczęły się w naszym kraju pięknym i poważnym przedsięwzięciem. Oto warszawskie Muzeum Narodowe otworzyło w końcu grudnia ub. roku niezmiernie interesującą wystawę „Sztuka czasów Michała Anioła”, wzbogaconą dziełami wypożyczonymi z Galerii Drezdeńskiej i z Galerii w Pradze.

Wystawa, zgodnie ze swym tytułem, mówi o wpływie sztuki Michała Anioła na epokę mu najbliższą. Technienie jego wpływów jest tu wyraziste i wyczuwalne. Jest uchwytne u wielkich artystów i u mniejszych anonimowych twórców nie tylko w Italii. Przykład Michała Anioła pobudzał wyobraźnię twórców całej Europy.

Wśród eksponatów tej wystawy, najpełniej z wszystkich dotychczasowych pokazów zorganizowanych w Polsce — obrazującej okres rozkwitu włoskiego Odrodzenia — nie ma jednak żadnego z dzieł artysty, którego pamięci całe to przedsięwzięcie poświęcone zostało. Rekompensują to zdjęcia i kopie jego prac. Ale w tej nieobecności oryginałów Michała Anioła, oryginałów, które w żaden sposób byłyby nie do zdobycia — rysuje się jeden z najcenniejszych aspektów tego pokazu dla nas... dla nas ludzi drugiej połowy XX wieku.

Otóż, chodzi o to, że niemożność uzyskania żadnego z dzieł Michała Anioła polega między innymi na tym, że nie tworzył on ich w żadnym oderwaniu. Zawsze, w każdym wypadku (oczywiście poza pewnymi szczególnymi wyjątkami) malarstwo czy rzeźba było dlań najściślej związane z życiem konkretnego miasta, z jego architekturą. To poszukiwanie i odnajdywanie konieczności organicznego związku plastyki z architekturą; to przenikanie się swobodnej, poetyckiej myśli ze ścisłością myślenia konstruktora, mechanika — jest przecież również jednym z dążeń naszej współczesności. Oto lekcja, lekcja sprzed czterystu i więcej lat. Lekcja, która nie traci swej ostatecznej aktualności.

Michał Anioł był w sztuce swej rewolucjonistą. Był na miarę swojej epoki jednym z największych eksperymentatorów, był tym, dla którego rewolucyjnie nowe było równoznaczne z życiem. Oto też lekcja dla ludzkości, choć nie zawsze równie wnikliwie dostrzegana. J. W.

Wincenty Pol — wykładowcą etnografii

Znakomity nasz poeta Wincenty Pol w latach pięćdziesiątych ub. stulecia był jednym z pierwszych w świecie wykładowców etnografii. Niestety, znaczna część jego wykładów uległa zniszczeniu. Dr Józef Babicz z Uniwersytetu Wrocławskiego odnalazł dokumenty opracowane przez poetę, a dotyczące zarysu struktury etnicznej Karpat. Zostaną one wydane przez Polskie Towarzystwo Ludoznawcze.

Spod Łysicy do siarki...

Od chwili, gdy przypadkowo w Tarnobrzegu nabyłem dwie okazałe grube książki — „Pod Łysicą” i „Chmurne lata” — stałem się wielbicielem talentu ich autora. Kiedy więc dowiedziałem się, że autor — Stanisław Orzeł pracuje aktualnie w miejscowym kombinacie siarkowym — w dziale... organizacji — podczas jednej z ostatnich tam wizyt — postanowiłem przeprowadzić z nim rozmowę.

— Jak to się stało, że przerwał Pan długoletni staż nauczycielski i trafił do „siarki”?

— Proszę mi wierzyć, że nauczycielstwo nie jest zawodem „usłanym różami” w ogóle, a w moim wypadku — szczególnie. Przyczyniły się do tego m. in. moje książki, zwłaszcza zaś „Chmurne lata”, w których obok wątków autobiograficznych z moich rodzinnych stron spod Ostrowca i sylwetek tamtejszych ludzi — znalazły się również — oczywiście częściowo zmienione — sytuacje i „portrety” ludzi miejscowych, co niektórym nie bardzo przypadło do gustu i co dawano mi często dość wyraźne odczuć. W kombinacie mam pod tym względem spokój.

— Czy zatem te książki były aż tak wiernym odzwierciedleniem rzeczywistości, że niektórzy mogli się poczuć dotknięci?

— Owszem. Dotyczy to szczególnie „Pod Łysicą”, która jest ściśle autobiograficzna i — poza dość przejrzyste zmienione nazwami miejscowości i imionami własnymi — opiera się niemal wyłącznie na wspomnieniach z lat dzieciństwa i szkolnych. W pierwodruku zresztą, który ukazał się w czasopiśmie —

nawet i tych zmian nie było. W konsekwencji miała do mnie pretensje nawet własna rodzina o to, że zbyt drastycznie czasem odzwierciedlałem fakty i sytuacje. Wolałem więc dokonać pewnych zmian i trzymałem się ich już konsekwentnie w dalszym ciągu. „Chmurne lata” zawierają nieco więcej „fikcji literackiej”, z tego choćby względu, że — jak już wspominałem — bazowałem w nich na dwu środowiskach: rodzinnym i tarnobrzesckim. Ponieważ czas, miejsce i akcję umiejscowiłem jednak tylko w jednym z nich, tj. „pod Łysicą” — musiałem więc dokonywać pewnych transplantacji osób, cech ich charakteru, sytuacji itd. W związku z trzecią moją książką — „Kamienista droga”, która zresztą początkowo miała być powieścią o ruchu ludowym i dopiero później ją przerobiłem — przypominam sobie dość zabawny fakt, że pierwszy dyrektor „Siarki”, nie żyjący już inż. F. Machalski rozpoznał w jednym z jej bohaterów portret... swego autentycznego, dobrego znajomego, którego ja... nie widziałem na oczy.

— Wszystkie te pozycje były wydane już dość dawno i w księgarniach raczej trudno je spotkać. Czy przewidziane są jakieś ich reedycje?

— Jak mnie poinformowała Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza — zamierza ona wznowić — i to jeszcze w bieżącym roku — „Pod Łysicą”. Co do pozostałych — na razie nie mi nie wiadomo.

— Czy obecnie ma Pan coś — jak to się mówi — „na warsztacie” piśmarnym, a jeśli tak, to jakiego charakteru są to książki?

— W pewnym okresie w ogóle przestałem pisać. Potem jednak skusiło mnie z powrotem. Pociągnęły mnie tym razem znów strony rodzinne, ale już od strony historii. M. in. prawie przez dwa lata siedziałem zagrzebany we wszelkiego rodzaju źródłach historycznych, szukając w nich wiadomości o tzw. ludziach wolnych w epoce ostatnich Piastów. Zebrany w ten sposób materiał posłużył mi jako podbudowa i tło do powieści historycznej, odmalowującej życie społeczne, gospodarcze itd. tych ludzi za czasów Łokietka, a kończącej się obrazem bitwy pod Płowcami. Oczywiście główny bohater jest postacią fikcyjną. Książkę tę mam już prawie na ukończeniu i być może — ukaże się ona jeszcze w bieżącym roku, nakładem LSW. Prowizoryczny jej tytuł, który zresztą prawdopodobnie zachowam, brzmi: „Zbój świętokrzyski”.

Drugą — również na ukończeniu — książką, jest zbiór opowiadań o tematyce przede wszystkim... wędkarskiej. Stanowią one literackie reminiscencje, m. in. z niedawno odbytej wycieczki turystycznej na Pomorze, konkretnie zaś — nad Jezioro Żarnowieckie.

Zadna z tych książek raczej nie ma bezpośredniego związku z Tarnobrzegiem ani z „Siarką”. Czy zajmę się tym tematem w przyszłości? Jeszcze nie wiem i na razie trudno mi o tym mówić.

(trap)

STANISŁAW ORZEŁ

NA SŁUŻBĘ

(Fragment książki „Pod Łysicą”)

Tydzień już byłem w Mierzejowicach u Gryzonii na służbie i zdawało mi się, że do śmierci już chyba tu pozostanę. Wciąż jeszcze pamiętam tę sobotę, kiedy Gryzoń zjechał przed nasz dom parą koni. Miałem właśnie iść po świadectwo do szkoły. W ogródku czekał na mnie Stefek Słomiński z Ciurlic. Był końcem roku i mieli nam świadectwa rozdawać. I wtedy zatrzymał się na drodze przed nami wóz Gryzonii. Byłbym uciekł, ale myłem nogi jak wtedy, gdy pierwszy raz do szkoły szedłem.

— Pochwalony Jezus Krystus — powiedział Gryzoń. Błogosławię cię przy kuchni postawił, z ojcem się przywitał, a matce powiedział tylko: — Jak się macie, Jonowo.

To już tak zawsze bywało, że z babami nikt się nigdy nie witał, bo kto by tam z nimi kiedy uradzał albo wódkę pił. Kaszkietu nawet nie zdjął ten Gryzoń, jakby do swojej stodoły wszedł. Dopiero kiedy ojciec krzesło mu z drugiej izby przyniósł, przypomniał sobie o tym i maciejówkę na gwoździu koło okna powiesił.

— Przyjechałem ugodzić się o tego mojego pastucha i może zabrać od razu, bo na mitregi czasu ni mam — zaczął.

— Przecież po świadectwo dziaś do szkoły idę — powiedziałem ze złością.

— Nikt ci się nie pyta, ja som załatwie świadectwo — powiedział ojciec, a Gryzoń zaraz ze śmiechem: — U mnie ci ta zoda świadectwo niepotrzebne, krowy go przecie nie będą ogładyły.

Potem zaczęło się już targowanie. Ojca i Gryzonii słyszałem, jakby rozmawiali gdzieś daleko, ich głosy dolatywały do mnie jak przez gęstą mgłę. Nie wiedziałem, że można się tak o człowieka targować.

A może ja nie byłem człowiekiem? Ksiądz Sciskala z ambony często powtarzał, że człowiek duszą różni się od bydła. Duszą i rozumem.

A mnie zdawało się, że chyba duszy już nie mam, bo mnie ojciec sprzedaje jak krowę, konia czy cielę. W końcu z rozmowy ojca z Gryzoniem zrozumiałem jedno: Gryzonnia nienawidzi i żyć mu nagłej a niespodziewanej śmierci. Było to największe przekleństwo. Za to szło się do piekła, a po spowiedzi leżało w niedziale krzyżem przy wszystkich ludziach. Wszystko było mi jednak obojętne: i piekło, i leżenie krzyżem, i śmierć. Gryzoń obmierzł mi się wydał, gorzej Mendlowego capy. Ojciec wyliczył, czego chce za moją służbę u „bogacza”. Były z cholewami na zimę, nowy przydziołek, kupny, a nie z domowego płótna, bekieszka, czapkę, cztery koszule — mogły być lńiane, były nie grabie — i dwa korce żyta.

— Dobrego byka odhodowałbym za tyłachno piniedzy — sierzdzil się

Gryzoń. — Nie dom. A przecie chyba zeżre taki chłopok. Co wy se myślicie, przecie to już wór nie brzuch mo taki ciotek.

— Nieoskrobany — myślałem o nim ze złością.

— Nie dom tyła — zakończył Gryzoń i po czapkę sięgał.

— No, a co dajecie? Sześć krów przypilnować, żarcie dawać, gnoj wyrzucać i insą pomoc dawać, to przecie za darmo nikt wam tego nie zrobi — mówił już ustępliwiej ojciec.

— Do gnoju mom parobka, wasego do pasienia bierę i za drogę licycie.

Po długich targach, wstawaniach i złościach, ojciec przybił wreszcie rękę Gryzonii. Miałem otrzymać nowe ubranie, bekieszę i buty, a ojciec tylko ćwierć żyta i ćwierć pszenicy. I tego właśnie nie mogłem zrozumieć — bo za co ojciec? Ja miałem służyć, a ojciec dostawał zapłatę, chyba za owo przeszłe bicie, Gryzoń z góry wiedział, że do zgody przyjdzie, bo w kieszeni czterdziestkę miał schowaną. Wypili. Gryzoń trochę się rozrzewnił. Wiedziałem, że w oczyma mrugał, śmiał się świszczącym rechotem i prawil bez przerwy.

— Jo nieucony, dzieci ino cytać wyucum i kwita. Morgi lo nich. Ziemia to je nauka lo nich. Ziemia, a nie zodne szkoły. I cy źle mi? U księdza se herbaty popije, pon kierownik mi się kłono, a komendant ino patrzy, aby mu te ćterdziestke postawił. I co mi nauka? Soltysam jezdem, wójstem sie ostane, bo ziemie mom. A wy zmądrzełiście, Jonie. Po co się wyniszczać i na starość po prosonem chodzić. Na służbę posłżcie wszystkich, bedom chleb i ludzi sanowały, we łbach jem się nie poprzewroco.

Maryna w kącie koło łóżka chciała bez przerwy mrugając to do matki, to do mnie. Myślałem, że śmieje się ze mnie, ale w końcu podszła i szepnęła mi do ucha:

— Zoboc, jak temu kudłocowi chusteczka wylazi.

Gryzoń z przylepionym do wargi papierosem siedział rozkraczony na ławie z rozpiętymi guzikami. Takim już był zawsze — jakby majtki bez guzików w rozporoku na szelkach nosił, a nie portki.

Leb miał duży, skudłaczony, brwi jak dwie kępki przyschniętej trawy, uszy omszałe białymi sterczącymi włosami, wiecznie łzawiące oczy i wąsy jak szczecina. Chłop duży jak mój ojciec, ale gdzie mu tam do niego. Chodził ciężko i niezgrabnie.

Stefek Słomiński poszedł sam do szkoły, a ja w godzinę potem siedziałem już na furze obok Gryzonii. Przy drodze stał wszyscy — matka, ojciec, siostry, Jurek i Tadek. Matka płakała, jakby do wojska szedł. Ojciec nie patrzył na mnie — wąsy szarpał i Gryzoniiowi przemawiał, aby mi w niedzielę nie zabraniał do kościoła chodzić i do domu zaglądać. Potem i on oczy palcem przetarł, jakby mu mucha w nie wpadła. Siostry stały obojętne, patrzyły raczej na karosze Gryzonii.

Zaczęłem rozumieć, że i ojcu ciężko wysłać mnie z domu. I znowu zdawało mi się, że zaczynamy się rozumieć my dwaj: mój ojciec i ja.

— A ty, Stachu, mos mi słuchać swojego gospodarza bez ten rok — powiedział na odejście.

Siedziałem na wozie w swoim starym ubraniu, bo nowe zostawiłem w domu, jak kawalek drewna: gluchy i ślepy. A jednak to „bez ten rok” usłyszałem i przez cały czas pobytu u Gryzonii nie zapominałem na dzień jeden.

Afrodyta z Kaukazu

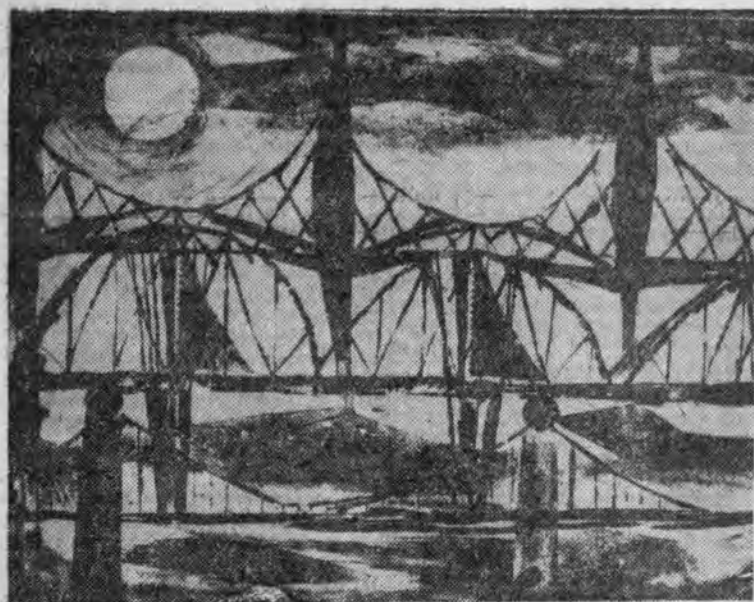
Młody uczonej radziecki — Władysław Dolgorukow dokonał w ubiegłym sezonie archeologicznym sensacyjnego odkrycia. Prowadząc wykopaliska na Półwyspie Tamańskim na Kaukazie natrafił na piękny posąg bogini greckiej — Afrodyty. Odkrycie dokonane zostało w miejscu, gdzie przed wiekami wznosiła się starożytna świątynia, poświęcona tej bogini. Niestety, posąg jest poważnie uszkodzony i pozbawiony głowy.

Prasa radziecka podkreśla, że nigdy jeszcze na ziemiach ZSRR nie odnaleziono tak wspaniałego dzieła sztuki antycznej. Uczeń starają się określić czas powstania rzeźby i ustalić nazwisko twórcy. Już obecnie posąg porównywany jest ze słynną Wenus z Milo. Rzeczywiście, pod względem mistrzostwa wykonania, klasycznych proporcji i harmonii postaci, a także zasad kompozycji rzeźbiarskiej — o ba dzieła mogą współzawodniczyć ze sobą. Wszystko wskazuje na to, że obie

marmurowe boginie — z Milo i z Kepy (nazwa kolonii greckiej na Kaukazie, gdzie odnaleziono rzeźbę) są rówieśniczkami i powstały w III lub II wieku przed naszą erą. Marmur, w którym wykuto posąg znaleziony na Kaukazie, pochodzi z którejś z wysp na Morzu Egejskim, być może z Milo.

W pracowniach konserwatorskich Instytutu Archeologii ZSRR trwają prace nad przywróceniem posagowi z Kepy dawnego wyglądu. Usunięto już warstwę wapienia, która pokryła rzeźbę w czasie ponad 2 tys. lat spoczywania w ziemi. Ukazały się wspaniałe szaty bogini, które fałdami spływały do jej stóp.

Wkrótce Afrodyta będzie czekała w Muzeum Historii Moskwy. O przywilej eksponowania wspaniałego dzieła ubiegało się kilka muzeów, m. in. leningradzki Ermitaż. Muzeum Historyczne miało jednak pierwszeństwo, ponieważ jego pracownik był szczęśliwym odkrywcą posagu.



Mosty (tempers)

ROBERT PELCZYŃSKI

ILE CZYTAMY?

Interesująco przedstawiają się dane, dotyczące sieci bibliotek publicznych i czytelnictwa za 1963 r. Odnotujemy więc trochę liczb, które w najogólniejszym zarysie odzwierciedlają aktualny stan czytelnictwa w naszym województwie.

Ogółem na Rzeszowszczyźnie działa 587 bibliotek, z czego 540 przypada na wieś. Ponadto czynne są 23 filie biblioteczne w miastach i 10 oddziałów dla dzieci. Prócz bibliotek pracuje 1.080 punktów bibliotecznych (1.018 na wsi). Na terenie województwa znajdują się 242 czytelnie, w tym 202 na wsi. Placówek tych przybyło w ub. r. 55, z tego na wsi 48.

Wszystkie biblioteki publiczne dysponują łącznie 2.155.419 woluminami, z których 139.020 przybyło w 1963 r. Wydano na nie około 3,5 mln zł. W bibliotekach zarejestrowano 276.677 czytelników i 4.516.857 wypożyczeń. Liczba czytelników wzrosła w ub. r. o 13.373, w tym na wsi o 9.275.

Obraz czytelnictwa byłby jednak niepełny, gdyby nie porównać liczby czytelników z ogólną liczbą mieszkańców naszego województwa. Otóż procent czytelników wzrósł do 16,7 proc. ogółu mieszkańców (w roku 1962 — 16,1 proc.) i jest wyższy od przeciętnej krajowej, która wynosi 13,8 proc.

Porównując liczbę czytelników za lata 1962 i 1963 stwierdzimy, że najwięcej przybyło ich w Rzeszowie i powiecie mieleckim, ubyłoby zaś w powiatach rzeszowskim i przemyskim (skutki zimy, podczas której dla bibliotek w tych powiatach zabrakło opału). Najwyższy procent czytelników posiada Stalowa Wola, bo 25,32 i Mielec — 21,85, który systematycznie osiąga coraz lepsze wyniki. W granicach średniej wojewódzkiej znajduje się powiat krośnieński, a najniższy wskaźnik zanotowano w Tarnobrzegu. Najwyższy procentowy wzrost czytelnictwa zanotowano w Rzeszowie-mieście, a najniższy w Przemyśle (miasto).

(stanski)

Postawy i obyczaje

CZAPKI Z GŁÓW?

Na wielkim podwórku, na który wychodzą okna kilku hal fabrycznych, pobili się dwie kobiety i damskim obyczajem czochoły sobie fryzury. Incydent był kosztowny, ponieważ setki ludzi zastawiały maszyny ich własnemu biegowi i rzuciło się do okien kibicować widowisku. Wśród nich był młody robotnik Stanisław Z. Biegając do okna zapomniał wyłączyć maszynę i coś się w niej tam przegrzało i starło. Potem przez kilka godzin maszynę trzeba było doprowadzać do porządku.

Majster wbiegł na salę produkcyjną z zamiarem zrobienia uzasadnionej awantury. Trudno jednak było skrzyknąć wszystkich po kolei. Wsiadł więc na Stanisława Z., tu szkody bowiem z przegrzania pracy były bardziej ewidentne. Stanisław Z. równie ostro odpowiedział majsterowi, który uznał, że jego autorytet doznał szwanku i złożył do dyrekcji wniosek o ukaranie Stanisława Z. za to, że oddał się od maszyny oraz, że niewłaściwie zareagował na zwróconą mu uwagę.

Stanisław Z. wezwał na rozmowę dyrektora. Powiedział mu kilka ostrych słów. Stanisław Z. nie pozostał mu dłużny.

Dyrekcja podjęła decyzję: za nie-subordynację, spowodowanie awarii, podważanie autorytetu majstra, lekceważenie okazywane wobec dyrektora — zwolnić z pracy z dwutygodniowym wypowiedzeniem.

Stanisław Z. dostał więc wypowiedzenie. Potem majster, który wcale nie chciał pozbawiać się dobrego, nienagannie pracującego robotnika i któremu zrobiło się trochę głupio powiedział Stanisławowi Z., żeby poszedł do dyrektora, przeprosił go, a wypowiedzenie zostanie cofnięte. On, majster, to gwarantuje. Już w tym duchu pertraktował Stanisławowi Z. jednak honor na coś podobnego nie pozwalał. Opuścił więc fabrykę — ze złą opinią.

Wina Stanisława Z. nie ulega wątpliwości.

Całą tę historię przytaczam jednak po to, aby uzmysłowić Czytelnikowi: za co naprawdę Stanisław Z. wyleciał?

Za odejście od maszyny do okna — nie. Przewina najpoważniejsza: doprowadzenie do awarii w maszynie.

Awans
krakowskiego festiwalu

W początkach czerwca odbędzie się w Krakowie I Międzynarodowy Festiwal Filmów Krótkometrażowych. Na kilka dni przed rozpoczęciem tej imprezy zorganizowany zostanie, podobnie jak w latach poprzednich, Ogólnopolski Festiwal Filmów Krótkometrażowych. Tradycyjne już nagrody — „Złote smoki” — przyznane zostaną na festiwalu międzynarodowym, laureaci festiwalu ogólnopolskiego wywożą zaś z podwawelskiego grodu nowe nagrody — „Lalkoniki”.

Przy okazji tegorocznego festiwalu odbędzie się w Krakowie retrospektywny przegląd naszego powojennego dorobku w zakresie filmu dokumentalnego. Będzie to impreza niezwykle ciekawa, ponieważ dokument jest tą gałęzią w polskim krótkim metrażu, która przysparza nam najwięcej sukcesów.

„Dama kameliowa”
w nowej wersji

Wybitny reżyser francuski Marcel Carne („Ludzie z mgi”, „Komedianci”) rozpocznie w maju pracę nad uwspółcześnioną wersją „Damy kameliowej” według Dumas. W roli Armanda Duval wystąpi Jacques Charrier, nieznane jest jeszcze natomiast nazwisko aktorki, która grać będzie Maigorzatę.

Marcel Carne zamierza w swym ujęciu ukazać środowisko filmowe. Maigorzata będzie początkującą aktorką.

Plany Felliniego
i de Siki

Fellini w dalszym ciągu otacza tajemnicą film, nad którym obecnie pracuje. Wiadomo tylko, że obraz nosić będzie tytuł „Giulietta degli spiriti” i że główną rolę gra Giulietta Masina, z którą nie pracował od czasu „Nocy Cabirli”.

Ogłosił natomiast swe plany na najbliższy okres Vittorio de Sica. Najpierw zrealizuje dla jednego z producentów amerykańskich „Paryż 1900”, następnie czeka go praca nad filmem „Flumena Marturano” z Sophia Loren, według sztuki Eduarda Filippa.

Za podobne niedbalstwo — jak sobie wyobrażam — można z czystym sumieniem ukarać. Ale nie wyrzuca się nikogo z pracy za pojedyncze (nie takie znów w skutkach groźne) niedbalstwo, jeżeli zawsze był pracownikiem dbałym, pracowitym i odpowiedzialnym.

Za ostrą odzywkę do majstra? Istotnie, autorytet szefa mógł wymagać podbudowy w postaci malej nauki moresu. Ale wylanie? To samo dotyczy w zasadzie rozmowy dyrektora — Stanisława Z.

A przecież argumenty dyrektora brzmią wcale przekonująco: spowodowanie awarii, niesubordynacja, lekceważenie przełożonych, publiczne podważanie autorytetu...

Jeszcze bardziej podejrzana jest owa propozycja: przeprosisz? Zostaniesz. O cóż więc w tym wszystkim chodzi? Jaka jest istota pretensji wobec Stanisława Z.

Nie zdjął czapki. Nie uklonił się.

Kiedy się przyjrzyć jakiejś większej ilości spraw dyscyplinarnych w miejscu pracy, często występuje ten motyw. I często ma się nieodparte wrażenie, że gdyby się ktoś komus w porę uklonił — cała sprawa przestawałaby istnieć.

Sprawy typu Stanisława Z. dlatego są takie częste, że jest wielu szefów, którzy lubią widzieć zdjęte przed sobą czapki. Jednocześnie jest ogromnie wiele ludzi, którzy za skarb świata czapki nie uchylą. Ambicjonalistów.

Pracownik zadziorny, unoszący się ambicją, nieukładny w stosunkach z kolegami i przełożonymi uznawany jest od razu za generalnie nie przystosowanego do współżycia w zespole, nie zdyscyplinowanego, tego, który mać i przeszkadza.

Jego to przede wszystkim prawie każdy szef rad jest się pozbyć.

Nazbyt często najgorsze baty są u nas zarezerwowane dla rogatych. I represje nie są związane z żadnymi kalkulacjami dotyczącymi rzeczywistej miary ich przewin. Łamana jest hierarchia ocen. Drugorzędne wady czy winy Stanisława Z. zawsze nabierają o wiele większych wymiarów.

Dzieje się tak dlatego, że wielu szefom z większą lub mniejszą łatwością udaje się pokrywać sobie-państwo deklamacjami o tym, że oni tylko chronią swój autorytet przełożonych dla dobra produkcji i stu innych dóbr publicznych.

Sobiepaństwo w tym względzie jest nie takie trudne do zwalczania. Bowiem w sprawach typu przypadku Stanisława Z. bardzo łatwo — przez analizę faktów doszukać się istotnych rozmiarów jego przewin. Zweryfikować ogólniki, z których dyrekcja owej fabryki ukuła ostrą broń: Dokonać rozbiórki pojęć: dyscyplina i autorytet, by potem dyrekcję pouczyć, że autorytet buduje się m. in. postępując w sposób niepodważalnie sprawiedliwy, a dobrych manier uczy się skuteczniej wewnątrz niż za bramą fabryki.

A ja sobie tylko wyobrażam, z jaką pogardą ów dyrektor, który wylał naszego bohatera, wyraża się o swoim koledze, dyrektorzynie innej fabryki, który kłania się, czapkuje i podlizuje w zjednoczeniu, podczas kiedy on sam, panie dzieciu, wali pięścią w biurko i za tę swoją cnotę ma dla siebie cały bezmiar szacunku.

A. BARSKA



ZDZISŁAW KOZIEN

— popularny aktor Teatru im. Wandy Siemaszko wej.

ALBUM
„Ziemia Przemyska”

Udała się Wydawnictwu Artystyczno - Graficznemu w Krakowie jego nowa pozycja z serii turystycznych albumów — monografii pt. „Ziemia Przemyska”. Książka starannie i estetycznie wydana, zrobiona ze smakiem, na dobrym papierze, bogata w piękne ilustracje, przyciągnie czytelnika, a już miłośników wydawnictw albumowych, ludzi kochających się w starej architektury, zabytkach i pięknie przyrody — na pewno.

Nie jest to pierwsza publikacja o Przemyslu — jednym z najstarszych i najładniejszych miast Rzeszowszczyzny, lecz z pewnością pod wielu względami, a zwłaszcza graficznym — najlepsza.

Przemysł jako temat do przewodników, monografii i folderów jest dosyć „obstrzelany”, stąd też zadanie autorów: historyka Aleksandra Gilewicza i krajoznawcy Jana Rożnińskiego nie było łatwe. Wgłębiając się jednak w opis geograficzno-przyrodniczy regionu i dzieje miasta od wczesnohistorycznych, poprzez średniowiecze, aż po czasy nam współczesne, dochodził się do wniosku, że dobrze wywiązali się ze swego zadania. Potrafili do znanych faktów z historii ziemi przemyskiej dodać rzeczy nowe, a stare informacje pokazać od innej strony. Pierwszą, opisową część pracy można z powodzeniem nazwać skróconą historią ziemi przemyskiej i jej 1000-letniego grodu, napisaną w sposób przystępny i ciekawy.

Mamy w niej do czynienia z liczną galerią znanych postaci hi-

storycznych od królów (Kazimierz Wielki, Jadwiga, Jagiełło, Sobieski), sławnych uczonych i pisarzy (I. Krasiecki) zaczynając, na awanturkach i zabijakach szlacheckich (Dłabeł z Łanęca) skończywszy. Zapoznajemy się z warunkami ekonomicznymi (pańszczyzna, rozwój kapitalizmu, budowa socjalizmu) i stosunkami społecznymi na przestrzeni wieków (bunt chłopów, strajki robotnicze).

O Przemyslu dnia dzisiejszego i jego perspektywach na najbliższe lata pisze na początku pracy, jakby w jego wstępie, Wojciech Bańka, I sekr. Kom. Pow. PZPR.

Najwięcej uroku dodają książce piękne (ponad 100) zdjęcia, których autorami są: Franciszek Zalewski (82 sztuki) znany w Przemyslu fotografik i dalej — T. Chrzanowski, H. Hermanowicz, L. Jesionowski, J. Niżnik, J. Wojłowicz, D. Zawadzki, Zb. Ziembowski oraz delikatne rysunki Zdzana Jasińskiego. Kiedy już wymienię tyle nazwisk, muszę dodać: opracowanie J. Skarbowskiego, mapki — T. Cais, redakcja — K. Szwajca.

ZZ

Autobiografia Sartre'a

W ubiegłym tygodniu ukazała się w księgarniach paryskich autobiografia Jeana Paula Sartre'a. Książka liczy dwadzieścia stron i zawiera tylko wspomnienia z lat dziecięcych. Dla filozofa rozmiłowanego w psychoanalizę — pisze „Monde” — te lata liczą się podwójnie.

KONWICKI PO RAZ SIÓDMY

„Sennik współczesny” Tadeusza Konwickiego jest siódmą z kolei książką tego pisarza. Poprzednie to — „Przy budowie”, „Władza”, „Godzina smutku”, „Rój”, „Z obłąkanego miasta”, „Dziura w niebie”.

Nieczęsto się zdarza, że jednocześnie z ukazaniem się książki pojawiają się recenzje w prasie literackiej — jak to się stało z utworem Konwickiego.

Powieść ta od kilku dni dopiero jest do nabycia w księgarniach, a już pisali na jej temat m. in. Stanisław Zieliński i Janusz Wilhelm w „Kulturze” oraz Zenona Macużanka w „Życiu Literackim”. Krytyka ocenia tę nowość polskiej prozy współczesnej bardzo pozytywnie. Jest to książka, która „nie może przejść niezauważona w naszym

tytuł literackim” — pisze jeden z recenzentów.

„Sennik współczesny” — to powieść i polityczna, i psychologiczna. Współczesność splata się w niej z przeszłością. Przeszłość powraca w konsekwencjach czynów, decyzji podjętych przed wielu laty. Jest to powieść „o wyzwalaniu się spod ciężaru przeszłości”, pod którym się uginają jej bohaterowie. „Każdy dźwiga go za trzech”. Przydarzyło im się, co może się zdarzyć mimo najlepszych chęci człowiekowi, który zapłacił się nie tam gdzie trzeba” — pisze w recenzji St. Zieliński, ale chociaż „zwekslowani na boczny tor nie dyskwalifikują spraw, od których zostali usunięci”.

„Złe sny są treścią książki Konwickiego — pisze J. Wilhelm — rekwizyty złych snów

bywają wymienne. Przeszłość podsuwa nam dziesiątki sytuacji, epizodów, obrazów, fragmentów, stanowiących część osobistego doświadczenia, której po latach wciąż nie umiemy przyjąć i zaakceptować”. Ale po nocy pełnej złych snów następuje przebudzenie i powrót — jak pisze autor „Sennika” — do zwyczajnego powszedniego dnia.

„Powieść staje się obrachunkiem pokolenia — stwierdza Z. Macużanka — które aktywnie brało udział w drugiej wojnie popadając w ogrom powikłań politycznych, moralnych, osobistych. Wyszło ono z owych doświadczeń z garbem konfliktów, win i klęsk”, ale „sprawy nowe wciągnęły je w swój wir, wyzwalając częściowo z przeszłości”.

Zdarzenia
TYGODNIA

W sali wystawowej Związku Polskich Artystów Plastyków w Rzeszowie czynna jest wystawa malarstwa Stanisława Krzysztalowskiego, profesora Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Na wystawie zgromadzono 22 obrazy. Obrazy te wystawiane były w Essen (NRF), gdzie spotkały się z bardzo przychylną opinią.

20 lutego br. odbędzie się spotkanie z autorem wystawionych prac.

Zespół Pieśni i Tańca Zakładowego Domu Kultury w Mielcu „Rzeszowiacy” przygotował nowy program. 29 stycznia odbyła się próba generalna, a 1 lutego br. zespół wystąpi już przed publicznością mielecką. Zespół zaprezentuje się w nowych strojach wykonanych przez CPLA na specjalne zamówienie. W połowie lutego zespół wystąpi w Warszawie podczas Krajowego Zjazdu Związku Zawodowego Metalowców.

Na półkach księgarskich ukazał się ostatnio zbiór reportaży pt. „Błędy i wybaczenia” Jerzego Ambroziewicza i Aleksandra Rowińskiego.

Znalazł autorzy przedstawili dzieje Zagłębia Siarkowego w Tarnobrzegu. W zbiorze ciekawie pokazano sylwetki ludzi i opisy przemian zachodzących w życiu miasta i jego mieszkańców. Interesujący jest także zestaw zdjęć.

Ostatnio odbyło się w Rzeszowie posiedzenie Zarządu Oddziału Wojewódzkiego Związku Teatrów Amatorskich. Posiedzenie, w którym uczestniczyli również działacze terenowi, poświęcone było omówieniu aktualnych zagadnień amatorskiego ruchu teatralnego i recytatorskiego oraz przygotowaniu do III Zjazdu, który się odbędzie 5 kwietnia br. w Rzeszowie.

Istniejący od jesieni 1963 r. młodzieżowy zespół teatralny Domu Kultury WSK w Rzeszowie wystawił 28 stycznia sztukę Krystyny Salaburskiej pt. „Krzysztof”.

Młodzi adepci sztuki teatralnej włożyli wiele wysiłku, by ich premierowe przedstawienie wypadło jak najlepiej.

W Domu Kultury Sanockiej Fabryki Autobusów odbyły się dwa spotkania autorskie: z gen. Leszkiem Krzemieniem („Kropla w potoku”) i generałem Pietrakiem („Podziemny front”) Tematyka, którą poruszyli obaj autorzy nawiązuje do rewolucyjnych tradycji polskiej młodzieży i walk z okupantem. Były to pierwsze imprezy organizowane w SFA w ramach obchodów 20-lecia PRL.

W ubiegłą niedzielę w Przemyslu odbył się powiatowy przegląd wiejskich teatrów dramatycznych, w którym uczestniczyły 4 wytypowane poprzednio zespoły. Wyróżniono zespoły z Pikulic, który wystawił „Kłopoty dziewczyny” Panaszowej oraz zespół z Buszkowic za wystawienie „Inspekcji” Wilczka.

30 stycznia br. w przemyskim Muzeum został otwarty Ośrodek Naukowo-Oświatowy. Z tej okazji odbyła się narada dyrektorów i kierowników muzeów z terenu województwa rzeszowskiego i kilku innych. Tematem narady była działalność oświatowa muzeów i udział muzealnictwa w obchodach 20-lecia PRL. Wykład inauguracyjny pt. „Rola muzealnictwa w Polsce Ludowej” wygłosił mgr Mieczysław Ptasnik z Warszawy — dyrektor Zarządu Muzeów i Ochrony Zabytków.

Co czytał
Faulkner?

Biblioteka, która pozostała po śmierci W. Faulknera jest skromna, zawiera tylko 1200 tomów. Opis biblioteki zamieścił ostatnio „New York Times”. Wśród książek, do których Faulkner najczęściej zaglądał, znajduje się Biblia, siedem wydań „Ulissesa” Joyce’a, powieści Dickensa, Conrada i Balzaka, tragedie Szekspira i zbiór wierszy Keatsa. Literaturę niemiecką reprezentuje wyłącznie Goethe i Thomas Mann, rosyjską — Gogol, Czechow, Turgeniew i Dostojewski. Liczniejszy jest wybór pisarzy francuskich, od Stendhala do Prousta. Na półkach bibliotecznych znajduje się również duża kolekcja powieści kryminalnych, wśród których poczesne miejsce zajmuje Georges Simenon.